



GUILLAUME MUSSO

Jak można być jednocześnie
martwym i żywym?

NIEZNAJOMA Z SEKWANY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
L'INCONNUE DE LA SEINE

Copyright © Calmann-Lévy 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Joanna Prądzyńska 2022

Redakcja: Dorota Jakubowska

Projekt graficzny serii: Kasia Mieszka

Opracowanie graficzne okładki: Justyna Nawrocka

Zdjęcie na okładce: © Natasza Fiedotjew/Trevillion Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Wieża z zegarem

*W życiu każdego przychodzi
moment, gdy człowiek musi
sam, ostatecznie i nieodwołalnie,
zdecydować o swoim losie.*

Georges Simenon

1

Paryż

– Tym razem, Roxane, naraziła pani nas wszystkich: wydział, kolegów, mnie... Wszystkich!

Nieoznakowany samochód policyjny wjechał z avenue de la Grande-Armée na place de l'Étoile. Odkąd opuścili Nanterre, Sorbier był wściekły; teraz odzyskał trochę spokoju, ale wciąż zaciskał palce na kierownicy.

– Jeśli prasa dowie się, co pani zrobiła, nawet nadinspektor Charbonnel będzie miał problemy! – rzucił z ponurym wyrazem twarzy.

Roxane Montchrestien milczała. Siedziała na miejscu pasażera i patrzyła na szybę, po której spływały krople

deszczu. Pod zaniesionym chmurami niebem Paryż wyglądał smętnie; od początku miesiąca nie było ani jednego słonecznego dnia.

W samochodzie unosił się zapach wilgoci. Roxane pochyliła się i maksymalnie zwiększyła nawiew ciepłego powietrza. Zmrużyła oczy. Ciężka masa Łuku Triumfalnego była w deszczu prawie niewidoczna. Roxane udzielił się niewesoły nastrój. Przypomniała sobie niedawne manifestacje, podczas których radykalny odłam „żółtych kamizelek” zdewastował wnętrze i fasadę łuku. Sceny przemocy i wandalizmu obieżyły świat, podsycając i tak już niezdrową atmosferę. No cóż, od tamtej pory niewiele się zmieniło.

– Krótko mówiąc, cały ten burdel jest przez panią! – zakończył Sorbier, redukując biegi przy zjeździe w avenue Marceau.

Roxane siedziała w milczeniu, wciśnięta w oparcie fotela. Szanowała Sorbiera, szefa Krajowego Wydziału do spraw Poszukiwania Zbiegów. Problemem była ona. Od wielu miesięcy czuła, że jest w sytuacji bez wyjścia. Przetarła oczy. Musi odejść z policji. Tylko w ten sposób zdoła poradzić sobie z depresją.

– Zamierzam podać się do dymisji, szefie – rzuciła i wyprostowała się na siedzeniu. – Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Wypowiedziawszy te słowa, poczuła się dużo lepiej. Od lat całkowicie poświęcała się pracy, której obecnie

nie była w stanie rzetelnie wykonywać. Podobnie jak wielu jej kolegów, z czasem zaczęła popadać w coraz większe przygnębienie. We Francji, zwłaszcza w regionie paryskim, ludzie nienawidzili policji.

„Wystrzelajcie się sami, niech was szlag trafi!”, przypomniały jej się hasła wykrzykiwane w stronę policjantów podczas manifestacji. Westchnęła. Tak, muszę odejść. Najwyższy czas, pomyślała.

Ruszyła śmiercionośna machina i ludzie zaczęli nienawidzić swoich obrońców. Dochodziło do incydentów w dzielnicach blokowisk, oblegano komisariaty, napadano na funkcjonariuszy podczas demonstracji, nawet strzelano do nich z moździerzy w centrum Paryża. Dzieci policjantów szły do szkoły ze strachem, rodziny się rozpadały. Z tygodnia na tydzień, po każdej sobotniej manifestacji, media z obrzydliwym upodobaniem nazywały policjantów faszystami.

„Pozabijajcie się w końcu sami... Pozabijajcie się!”

Dobry moment, żeby odejść, myślała Roxane. Na szczęście nic nie stało na przeszkodzie, nie miała dzieci, kredytów do spłacania ani zasądzonych alimentów. Opuści nie tylko policję, ale też Francję. Znajdzie sobie jakąś zaciszną enklawę – nie za daleko – z której będzie mogła z bólem obserwować koniec tego cholerne go kraju.

– Dziś wieczorem zobaczy pan na biurku moją dymisję, szefie – obiecała.

Sorbier pokręcił głową.

– Nie ma mowy, Roxane! Nie wykręci się pani tak łatwo!

Jechali nabrzeżem Sekwany w kierunku place de la Concorde. Po raz pierwszy nie starała się ukryć swojego złego humoru.

– Może mi pan przynajmniej powiedzieć, dokąd jedziemy? – spytała zrzędliwie.

– Na wieś.

Prawie się uśmiechnęła. Wieś oznaczała zieleń, łagodny wietrzyk, pola jak okiem sięgnąć, dojrzałe kłosa zboża falujące w słońcu, dzwonki krów na pastwisku. Rzeczywistość zupełnie inną niż ta, którą знаła z Paryża: chorego, brudnego, apatycznego miasta, duszącego się w zanieczyszczonym powietrzu. I ten smutek, ten smutek...

Wjechali na most prowadzący na lewy brzeg Sekwany.

– Oto plan, Roxane – odezwał się Sorbier. – Charbonnel znalazł dla pani spokojne miejsce, żeby wszyscy mieli czas zapomnieć.

– Więc jestem przeniesiona?

– Tak, tymczasowo.

Nadinspektor François Charbonnel stał o stopień wyżej w hierarchii administracyjnej, kierował Centralnym Biurem do Walki z Przestępczością Zorganizowaną.

– A moi ludzie?

– Chwilowo zastąpi panią porucznik Botsaris. Ma pani szczęście. To szansa, żeby wrócić. A potem, jeśli wciąż będzie pani chciała odejść, droga wolna.

Roxane poczuła palącą zgagę. Dotknęła dłonią miejsca pod mostkiem.

– A co konkretnie mam robić? – spytała.

2

– Słyszała pani o ASN?

– Nie.

– Szczerze mówiąc, ja też nie. Do dzisiejszego ranka. Sorbier miał chociaż tyle przyzwoitości, żeby nie owijać w bawełnę.

Wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody z przedniej szyby. Byli już na lewym brzegu Sekwany. Samochód stanął w korku na boulevard Saint-Germain.

– ASN, Agencję do spraw Niekonwencjonalnych, utworzono w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, za rządów Pompidou – wyjaśnił. – Podlega bezpośrednio prefekturze. Na początku miała się zajmować sprawami, powiedzmy, dziwnymi, których policja kryminalna nie umiała wyjaśnić racjonalnie.

– Co to znaczy „dziwnymi”?

– Takimi, jakie kojarzy się ze zjawiskami nadprzyrodzonymi.

– To żart?!

– Nie, absolutnie nie. Ale trzeba wziąć pod uwagę czasy, w jakich powstała ta agencja – odparł Sorbier. –

Spółeczeństwo odkrywało to, co nazywano wówczas „rzeczywistością paranormalną”. Badano sprawy niedające się wyjaśnić naukowo, ludzie pasjonowali się kosmitami, w Tuluzie utworzono GEIPAN*...

– Dlaczego w ogóle się o tym nie mówi?

Sorbier wzruszył ramionami.

– Można znaleźć kilka artykułów na ten temat w prasie z tamtego okresu. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w ASN pracowało może dziesięć osób. Ale rządy socjalistów i ewolucja społeczeństwa zmieniły profil agencji. Zaczęto odsyłać do niej policjantów wyczerpanych psychicznie albo takich, których trzeba było chwilowo odsunąć na boczny tor.

Roxane słyszała kiedyś o ANAS Le Courbat, ośrodku dla funkcjonariuszy z oddziałów prewencji. Przyjmowano tam policjantów, którzy popadli w alkoholizm, cierpiących na depresję lub wypalonych zawodowo. Ale po raz pierwszy spotkała się z nazwą ASN.

– Z czasem ASN przeniesiono w inne miejsce i liczba pracowników szybko zmalała. Dziś to tylko pozycja w księgowości, w budżecie, która zresztą zniknie w czerwcu. Będzie pani najprawdopodobniej ostatnią zatrudnioną tam policjantką.

* Groupe d'Études et d'Informations sur les Phénomènes Aérospatiaux Non Identifiés – jednostka francuskiej agencji kosmicznej CNES, której zadaniem jest badanie niezidentyfikowanych zjawisk lotniczych i udostępnianie wyników badań opinii publicznej.

- Nie mógł pan znaleźć dla mnie czegoś lepszego?
- Myślę, że nie jest pani w pozycji do negocjacji, Roxane – oświadczył Sorbier. – Poza tym przed chwilą mówiła pani o dymisji, więc czym się pani przejmuje?

Skręcił w prawo w rue du Bac. Roxane wyjrzała przez szybę. Grenelle, Verneuil, Varenne... W dzielnicy Saint-Thomas-d'Aquin spędziła dzieciństwo. Chodziła do szkoły tu niedaleko, do École Sainte-Clotilde; ojciec, wojskowy, pracował w Hôtel de Brienne, w Ministerstwie Obrony Narodowej. Mieszkali przy rue Casimir-Perier. Dzielnica Saint-Thomas-d'Aquin była jak Saint-Germain-des-Prés bez turystów i snobów. Zaskoczyło ją tylko, że nagle się tu znalazła. Pojawiły się niewyraźne, ale przyjemne wspomnienia: obłany słońcem śliczny parkiet, sztukaterie w kształcie liści akantu pod sufitem, kryształowy dźwięk klawiszy starego Steinwaya, na kominku brązowy kot kamerdyner – rzeźba Giacomettiego – prężył się, patrząc zaczepnie.

Wściekły odgłos klaksonu taksówki przywrócił ją do rzeczywistości.

- Ilu będę miała ludzi?
- Nikogo. Mówiłem już, w agencji od lat nie ma nic do roboty. Ostatnio pracowała tam jedna osoba, komisarz Marc Bataille.

Roxane zmarszczyła brwi. Gdzieś już słyszała to nazwisko, ale nie umiała sobie przypomnieć gdzie.

Sorbier pośpieszył jej z pomocą.

– Batailley pracował w dochodzeniówce. Miał swoje pięć minut w latach dziewięćdziesiątych, gdy jego oddział w Marsylii zidentyfikował i zatrzymał Ogrodnika, jednego z pierwszych francuskich seryjnych zabójców.

– Ogrodnika?

– Facet obcinał sekatorem wszystkie wystające części ciała ofiary: palce u rąk i u nóg, uszy, penisa...

– Oryginalne...

– Po tym wyczynie Batailley został przeniesiony z honorami do dochodzeniówki w Komendzie Policji Regionalnej, przy quai des Orfèvres numer trzydzieści sześć, ale nie sprawdził się tam, nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Powodem były chyba kłopoty rodzinne. Stracił dziecko i żona od niego odeszła. Pod koniec miał problemy ze zdrowiem, no i dlatego tu wyładował.

– Przeszedł na emeryturę?

– Jeszcze nie, ale wczoraj w nocy miał atak serca. Charbonnel wykorzystał tę informację i wsadził panią na jego miejsce.

Sorbier włączył światła ostrzegawcze i zaparkował przed bramą parku przy rue du Bac pod numerem 105. Przestało padać. Roxane wysiadła z samochodu. Ubranie, włosy, mózg – wszystko miała przemoczone. Sorbier też wysiadł. Oparł się o maskę i zapalił papierosa.

Zerwał się wiatr. Wreszcie było czym oddychać. Chmury nad parkiem przerzedziły się i odsłoniły kawałek błękitnego nieba. Od razu pojawiły się dzieci i z radosnym

krzykiem pobiegły na huśtawki i zjeżdżalnie. Roxane miała dużo wspomnień z tego miejsca: lody waniliowo-truskawkowe w Bac à Glaces, wizyty z mamą w Bon Marché i w Conran Shop, nieco dalej mieszkanie Romaina Gary’ego, które mijала, gdy chodziła do liceum... Kierowana ciekawością, wypatrywała otwartej bramy, czekając, aż pojawią się w niej duchy Romaina, Jean Seberg i ich syna Alexandre’a Diega.

– Oto pani biuro! – Sorbier wskazał palcem niebo.

Roxane podniosła głowę. W pierwszej chwili nie zrozumiała, ale potem dostrzegła wieżę z zegarem, której nigdy wcześniej nie zauważyła. Wieża znajdowała się w głębi ulicy i wystawała ponad okoliczne dachy.

– Budynek powstał w latach dwudziestych dwudziestego wieku – zaczął Sorbier profesorskim tonem. – Był aneksem do sklepu Bon Marché, zaprojektowanym przez architekta Louisa-Hippolyte’a Boileau. Prefektura zaanektowała tę wieżę na początku lat dziewięćdziesiątych, ale w tej chwili ją sprzedaje.

Roxane podeszła do wielkiej bramy pomalowanej na niebiesko.

– Zostawiam cię samą – rzucił Sorbier, podając jej klucze. – Przede wszystkim żadnych głupstw, Roxane!

– Jaki jest kod?

– Trzydzieści dwanaście zero siedem. Data utworzenia Brygad Tygrysa. I „B” jak Brygada.

– Albo jak moje nowe biuro... – Roxane westchnęła.

– Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy. Ma pani dać o sobie zapomnieć. Nie zawsze będę mógł nad panią czuwać i wyciągać panią z opresji.

3

Wieża była prawie niewidoczna od strony ulicy, za to zaraz po przejściu bramy ukazywała się w całym majestacie. Wznosiła się z gracją w głębi zadrzewionego podwórka, wciśnięta między dwa nieciekawe budynki. Na szczycie tej solidnej konstrukcji, przypominającej basztę obronną na tle paryskiego nieba, widniały wielkie tarcze zegara. Prawdziwa twierdza w samym środku siódmej dzielnicy.

Roxane przeszła przez brukowane podwórko do wejścia, przy którym stał zaparkowany jaskrawoczerwony skuter. Wsunęła jeden z kluczy od Sorbiera do zamka w masywnych drzwiach z lakierowanego drewna i pchnęła je. Wnętrze wieży było jak oświetlona studnia; promienie słońca wpadały przez witraże w oknach, zalewając trzy piętra ciepłym światłem. Już na parterze widać było charakterystyczne cechy stylu, w jakim zaprojektowano budynek: czerwona cegła, dębowy parkiet, stalowa struktura z nitowanych belek à la Gustave Eiffel.

Cztery poziomy były połączone kręconymi schodami z kutego żelaza. Roxane weszła na stopnie i spojrzała w górę. Było ciepło, przyjemnie. Słyszała ciche buczenie systemu ogrzewania. Z góry dochodziła muzyka forte-

pianowa, *Impromptu* Schuberta. Jedna z melodii jej dzieciństwa.

Dotarła na pierwszy poziom. Piętro było podzielone na dwie części. Na ścianach po jednej stronie wisiały półki – od podłogi do sufitu. Stało tam też pełno metalowych szafek, kartonowe pudła na archiwa, kserokopiarka, faks, a nawet terminal Minitel. Po drugiej stronie Roxane spostrzegła aneks kuchenny z blatem z surowego drewna, dalej łazienkę z prysznicem.

Obok kserokopiarki stała tradycyjnie udekorowana choinka, pod którą wylegiwał się na kartkach papieru kot syberyjski. Zauważywszy Roxane, miauknął i uciekł na górę.

– No, chodź tu, chodź! – zawołała, dogoniła go na schodach i schyliła się, żeby pogłaskać go po brzuchu. Kot był umięśniony, krępy, miał przepiękną srebrzystą sierść i pyszczek jak z komiksu.

– Nazywa się Poutine – usłyszała za plecami.

Zaskoczona, odwróciła się, kładąc rękę na kolbie pistoletu wsuniętego do kabury. Na drugim piętrze, pod oknem, stała młoda, może dwudziestopięcioletnia kobieta z afro. Patrzyła na Roxane szmaragdowymi oczami zza szkieł w rogowych oprawkach i uśmiechała się promiennie. Miała matową cerę i przerwę między przednimi zębami.

– Kim pani jest, do cholery? – Roxane się zdenerwowała.

– Valentine Diakité – przedstawiła się spokojnie młoda kobieta. – Studiuję na Sorbonie.

– Co pani tu robi?

– Piszę doktorat na temat Agencji do spraw Niekonwencjonalnych.

Roxane westchnęła.

– Kto panią tu wpuścił?

– Mam pozwolenie od komisarza Batailleya. Już od sześciu miesięcy segreguję i układam dokumenty. Szkoda, że pani nie widziała, jak to wyglądało na początku! Totalny chaos!

Roxane popatrzyła na doktorantkę, która poruszała się pomiędzy kartonowymi pudłami tak swobodnie jak księżniczka we własnym pałacu. Czarne rajstopy, aksamitna spódnica, golf i rude botki... Wyglądała jak współczesna wersja Emmy Peel.

– A kim pani jest?

– Kapitan Roxane Montchrestien. Jestem policjantką.

– To pani zastępuje Marca Batailleya?

– Można tak powiedzieć.

– Jak on się czuje?

– Nie wiem.

– Biedak. To straszne, co mu się przytrafiło. Od rana myślę tylko o tym. To ja go znalazłam.

– Miał atak serca?

– Nie sądzę, żeby to był atak serca. Myślę, że spadł ze schodów, są zdradliwe – powiedziała doktorantka, wskazując na krętą żelazną konstrukcję.

Roxane weszła na górę, do biura Batailleya. Było to niezwykle pomieszczenie: miało co najmniej sześć metrów wysokości, sufit wspierał się na stalowych nitowanych belkach; stały tu duża pikowana kanapa ze skóry i wielkie dębowe biurko w stylu Jeana Prouvé. Wystrój wnętrza i czerwone cegły na ścianach tworzyły osobliwy klimat, jakby w nowojorskim lofcie założono tradycyjny angielski klub. Ale widok z okien powodował zawrót głowy, tak był wspaniały! Po zachodniej stronie wieża Eiffla i kościół Inwalidów. Na północy wzgórze Montmartre z bazyliką Sacré-Coeur. Na południu Ogród Luksemburski i obrzydliwy wieżowiec Montparnasse. Na wschodzie katedra Notre Dame, wciąż nie do końca odnowiona po pożarze. Był to upajający widok: z wysoka, z dala od zgiełku.

4

Valentine Diakité urządziła sobie biuro piętro niżej. Wyglądała jak rozsądna bibliotekarka, ale biło od niej niepokojące światło. Roxane poczuła się nieswojo.

– Opowiedz mi, jak Marc Bataille organizował sobie czas – poprosiła, zwracając się do młodej kobiety na ty.

– Komisarz pracował trochę na zwolnionych obrotach – powiedziała Valentine. – Kiedy pojawiłam się tu pół roku temu, właśnie miał nawrót raka płuc. Był zmęczony, ale miły, i zawsze mi dobrze radził.

– Od kiedy agencja przestała działać?

Valentine, zadowolona, że wreszcie może zrobić coś konkretnego, w tym przypadku udzielić wyjaśnień zagubionej policjantce, zaczęła wykład:

– Na początku, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, ASN prowadziła naprawdę niesamowite sprawy. Badano zjawiska paranormalne, telekinezę, psychokinezę oraz doświadczenia z pogranicza śmierci, choć wówczas jeszcze ich tak nie nazywano. Wydział otrzymywał setki świadectw z całej Francji.

Valentine wskazała ręką sterty kartonowych pudeł.

– Było tu wszystko: duchy, białe damy, telepatia... no i ufologia, wówczas bardzo popularna. Jeśli kiedyś zaciekawia panią materiały z tamtych czasów, przekona się pani, że to prawie Archiwum X.

– A obecnie?

Doktorantka wykrzywiła usta.

– Czasem dostajemy listy: piszą do nas jacyś wariaci, którzy myślą, że światem rządzą reptilianie, że Bill Gates stworzył wirusa, żeby zmniejszyć liczbę ludzi na świecie, a francuski rząd rozprowadza go za pomocą sieci pięć G i liczników energii elektrycznej Linky.

Roxane przetarła oczy. Miała ochotę zostać sama, zasnąć, wyłączyć się, przestać myśleć.

– Nie możesz tu zostać, Valentine...

– Dlaczego? Pan komisarz zgodził się i...

– Tak, ale teraz ja jestem szefem. Oddział policji to nie jest biblioteka uniwersytecka.

– Mogłabym się przydać.

– Nie wiem do czego. Masz dzień na spakowanie się. I nie zapomnij zabrać kota.

Valentine wzruszyła ramionami.

– To nie jest mój kot. Ani też Marca Batailleya. Był tu przed nami, natrafiłam na wzmiankę o nim w archiwach. Poutine pojawił się w Agencji w dwa tysiące drugim roku, osiągnął więc wiek emerytalny.

Speszona Roxane odwróciła się i wbiegła na ostatnie piętro. Widoczne przez okno żeliwne tarcze zegara sprawiały, że świat wokół jawił się jako dziwna, nierealna bajka. Miała wrażenie, że znalazła się w gabinecie osobliwości. W biurze Batailleya poczuła się tak, jakby cofnęła się w czasie o trzydzieści lat. Żadnych komputerów, a aparat telefoniczny przypominał ten, który pamiętała z czasów młodości, z domu rodziców.

Obok słuchawki migąła czerwona dioda. Zaciekawiona, wcisnęła guzik i włączył się głośnik. Wysłuchiwała wiadomości, według zegara w telefonie nagranej tego samego dnia o trzynastej dziesiątej.

Marc, tu znów Catherine Aumonier. Muszę się z tobą skontaktować w związku z informacją, którą zostawiłam ci rano. Proszę, oddzwonić!

Ponieważ nie było innych wiadomości, Roxane odsluchiwała tę nagraną o siódmej czterdzieści sześć.

Dzień dobry, Marc, mówi Catherine Aumonier, dyrektorka szpitala psychiatrycznego przy prefekturze. Dzwonię do ciebie, bo mamy dziwną sprawę. Wczoraj rano przywieziono młodą kobietę, która straciła pamięć.

Wodne Pogotowie Ratunkowe wyłowiło ją nagą z Sekwany. Nie mam twojego maila, wysyłam ci dokumenty faksem. Zadzwon, powiedz, czy ją znasz. Do usłyszenia.

Zaintrygowana Roxane jeszcze raz odsłuchiwała wiadomość. Jeśli Batailley ją odebrał – a migająca dioda sugerowała, że tak – musiał to zrobić zaledwie kilka minut przed swoim nieszczęśliwym upadkiem.

Poczuła rosnącą ekscytację. Wszystko, co miało jakikolwiek związek z policyjnym szpitalem psychiatrycznym, którego działalność okrywała tajemnica, zawsze ją interesowało. Catherine Aumonier powiedziała, że wysłała Batailleyowi faks. Roxane przerzuciła papiery, książki i pisma walające się na biurku, ale nic nie znalazła. Przypomniała sobie, że faks stoi niedaleko kserokopiarki. Zeszła na pierwsze piętro. Nadąsana Valentine Diakité siedziała po turecku w kącie i segregowała dokumenty.

– Odebrałaś dzisiaj jakiś faks? – spytała Roxane.

Młoda kobieta pokręciła głową.

W pojemniku na faksy nie było żadnego dokumentu. Roxane wyobraziła sobie, jak Marc Batailley przychodzi do biura wcześniej, wysłuchuje wiadomości od Catherine Aumonier, schodzi po faks i wraca na górę. Wtedy musiał spaść ze schodów. Ale gdzie się podział ten faks? Zajrzała pod schody, potem pod meble i metalowe szafki. Nic. Wiedzioną intuicją, podeszła do choinki, pod którą kot zrobił sobie legowisko z... No właśnie, ze zmiętego faksu od Catherine Aumonier.

Podniosła dwie zgniecione kartki i zaczęła je wygładzać. Poutine częściowo je podarł, ale łatwo można było odczytać tekst. Tak jak powiedziała Catherine przez telefon, był to raport z przyjęcia do szpitala psychiatrycznego pacjentki z zaburzeniami pamięci. Tekst był lakoniczny, ale zdjęcie młodej kobiety intrygujące: delikatna zalekniona twarz, włosy do ramion.

Roxane przez chwilę wahała się, czy nie zadzwonić do Catherine Aumonier. Potem postanowiła po prostu ją odwiedzić. Już włożyła kurtkę, gdy przypomniała sobie, że przecież nie ma służbowego auta. Jej peugeot został w Nanterre i pewnie szybko go nie odzyska.

Na biurku Valentine zobaczyła brązowo-żółty kask bez osłony, z paskiem w szachownicę.

– To twój skuter tam, na dole? – spytała, zakładając kask. – Możesz mi dać kluczyki?

SES

DERNIÈRE ÉDITION

MERCREDI 14 AVRIL 1971

Monde

5 rue des Italiens, Paris-IX*

Directeur : Jacques Fauvel

0,70 F

Algérie, 0,70 DA; Maroc, 0,70 dir.; Tunisie, 70 m.;
Allemagne, 0,80 DM; Autriche, 5 sch.; Belgique, 7 fr.;
Canada, 0,90 ct.; Danemark, 1,80 kr.; Espagne, 8 pes.;
Grande-Bretagne, 8 p.; Grèce, 10 ct.; Iran, 25 rls; Italie, 1,20 l.; Liban, 80 liras;
Luxembourg, 7 fr.; Norvège, 2 kr.; Pays-Bas, 2,75 fl.;
Portugal, 75 esc.; Suède, 1,25 kr.; Suisse, 0,70 fr.;
U.S.A., 50 cts; Yougoslavie, 5,25 din.

Tarif des abonnements page 31

C.C.P. PARIS N°4207-23

TELEXP/ARIS N°45572

Ad. intégr. : JOURMONDE-PARIS

Tél. : PRO. (770) 91-29

Policja

Agencja do spraw Niekonwencjonalnych

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wraz z Prefekturą Policji Paryża (PPP) ogłosiło utworzenie Agencji do spraw Niekonwencjonalnych (ASN). Nowa instytucja, wykorzystując metody naukowe, ma sprawdzać rozmaite niedające się wyjaśnić zjawiska, zgłaszane coraz częściej przez obywateli.

„Misją ASN ma być badanie zdarzeń pozornie niewytłumaczalnych i dzięki użyciu nowoczesnych narzędzi śledczych dostarczanie wyjaśnień opartych na nauce i rozsądku”, powiedział prefekt paryskiej policji Jacques Lenoir. „Dzisiejsza wiedza pokazuje, że za pozorną prostotą często kryje się skomplikowana głębia”, dodał.

Prowadzenie Agencji powierzono komisarzowi Emmanuelowi Casterze. „ASN pozwoli zgromadzić w jednym miejscu rozproszone zeznania na temat niewytłumaczalnych zjawisk, zgłaszanych na posterunkach policji i żandarmerii w całym kraju”, oświadczył komisarz po objęciu stanowiska. Castera zajmuje się tego rodzaju świadectwami już od wielu lat, często robił to poza godzinami pracy. Nowo utworzona Agencja uwierzytelnia jego zainteresowania i pozwala mu działać oficjalnie, mimo kpiących uśmiechów i pełnych sceptycyzmu komentarzy niektórych kolegów.

2

Policyjny szpital psychiatryczny

*Dlaczego rzuciłam się do wody? –
myślała nowo przybyła. [...] Moja
biedna głowa jest pełna alg
i muszelek. I mam wielką ochotę
powiedzieć, że to bardzo smutne,
choć właściwie nie wiem, co to
słowo znaczy.*

Jules Supervielle

1

– Przyszła pani za późno – przywitała ją Catherine Aumonier.

Masywna sylwetka, biały fartuch, surowy wyraz twarzy, okulary połówki na nosie... Dyrektorka szpitala psychiatrycznego wyglądała na zakłopotaną. Siedziała za niewielkim metalowym biurkiem i patrzyła na Roxane nieufnie.

– To znaczy? – spytała Roxane, stojąc naprzeciwko niej.

– Nieznajomej z Sekwany już u nas nie ma – odparła z wyrzutem Catherine Aumonier, ale Roxane wyczytała z jej oczu, że lekarka czuje się winna, jakby została przyłapana na gorącym uczynku.

– Może opowie mi pani wszystko od początku? – poprosiła Roxane.

Po raz pierwszy w karierze znalazła się w szpitalu psychiatrycznym paryskiej prefektury. Był to jedyny tego rodzaju ośrodek we Francji i nie cieszył się dobrą opinią. Pełnił funkcję pogotowia psychiatrycznego dla osób zgarniętych z ulicy, jeśli miały objawy zaburzeń psychicznych. Powstał półtora wieku temu. Jego działaniom zarzucano brak przejrzystości, ponieważ podlegał bezpośrednio prefekturze.

Lekarka zaczęła odczytywać swoje notatki.

– Wodne Pogotowie Ratunkowe wyловиło z Sekwany naszą nieznajomą niedaleko Pont-Neuf w niedzielę koło piątej rano. Nie miała na sobie ubrań, jedynie zegarek na ręce.

Mimo że jej zaciekawienie rosło, Roxane czuła się jak osaczona. Małeńkie biuro przypominało celę więzienną. Zielonkawe oświetlenie, zapach kapusty w powietrzu... Poczowała mdłości. Ledwo mogła oddychać.

– Przywieziono ją do nas koło dziesiątej rano, po szybkiej rejestracji w izbie przyjęć w szpitalu Hôtel-Dieu.

Catherine Aumonier wręczyła Roxane zaświadczenie podpisane przez tamtejszego lekarza. Policjantka

przebiegła je wzrokiem. Mężczyzna nie wykazał się nadgorliwością. Zakreślił tylko niektóre punkty i podsumował: *Kobieta z objawami zaburzeń psychicznych, może stanowić zagrożenie dla innych i dla siebie*. Nieznajoma odmówiła złożenia odcisków palców; lekarze z Hôtel-Dieu nie nalegali na to zbyt usilnie, bo pacjentka nie popełniła żadnego przestępstwa, a jedynie kąpała się nago w Sekwanie.

– Gdy ją wyłowiono, była zagubiona, oszołomiona. Nie umiała odpowiedzieć na żadne pytanie. W szpitalu Hôtel-Dieu zachowywała się w miarę spokojnie, ale kiedy przywieziono ją tutaj, dostała szału.

Catherine Aumonier otworzyła jakiś plik w laptopie i odwróciła komputer w stronę Roxane.

– Wszystko nagrały kamery monitoringu. Od razu po przywiezieniu dostała środek uspokajający, ale to niewiele pomogło. Była bardzo pobudzona, drapała się, wyrywała sobie włosy garściami.

Roxane popatrzyła na ekran. Młoda zdezorientowana kobieta w szlafroku, blada szczupła twarz. Widmo, sylfida – więźniarka swego smutku i szaleństwa.

– Nie udało się nic z niej wyciągnąć?

– Myślę, że nawet nie rozumiała większości pytań, które jej zadawano – odpowiedziała Catherine Aumonier.

– Postawiono diagnozę?

– Przy tak niewielkiej ilości informacji to trudne. Miała objawy urojeń i amnezji dysocjacyjnej.

– Możliwe, że udawała?

– To jest zawsze możliwe, ale nie sądzę. Wyglądała na osobę w głębokim szoku. W ciągu dwudziestu czterech godzin jej stan się nie zmienił, powiedziała jednak coś, co mnie zaintrygowało. Poprosiła, żeby zadzwonić do Marca Batailleya.

– Dokładnie tak?

– Powtórzyła to nawet kilka razy, jak modlitwę: *Sie müssen Marc Batailley anrufen!*

– Po niemiecku?

– Tak.

– Od razu pani wiedziała, o kogo chodzi?

– Tak, bo często widywałam Marca Batailleya, gdy pracowałam na quai de la Rapée.

– W Zakładzie Medycyny Sądowej?

Lekarka skinęła głową.

– Dwa razy zostawiłam mu wiadomość, ale się nie odezwał.

Roxane nie przyznała się, że odsłuchiwała te wiadomości. Catherine Aumonier myślała, że policjantka została przysłana przez prefekturę, a ona nie spieszyła się, żeby to wyjaśnić.

– I co pani zrobiła potem? – spytała Roxane.

Lekarka ostentacyjnie podłubała w ucho. Miała twarz holenderskich chłopiek ze szkiców van Gogha do obrazu *Jedzący kartofle*: czerwone policzki, grube rysy, niskie czoło, perkaty nos...

– Trzymaliśmy ją jeszcze kilka godzin, ale potrzebowaliśmy wolnych miejsc.

– Mogę zajrzeć do jej sali?

Lekarka z wysiłkiem podniosła się z krzesła.

– Zwykle przyjmujemy dziennie najwyżej sześć, siedem osób, ale w tamten poniedziałek podesłano nam jedenaście – oznajmiła, z westchnieniem zapinając biały fartuch ozdobiony trójkolorowym znacznikiem prefektury. – Nie rozumiem, co się dzieje! Narkomani, szaleńcy, paranoicy, bezdomni, imigranci... Nie nadążamy z pracą.

2

Przeszły przez dwuskrzydłowe drzwi i znalazły się w długim zgniłożółtym korytarzu z rzędami wiśniowych drzwi po obu stronach. Po lewej znajdowały się biura personelu, kuchnia, sala wypoczynkowa i apteka. Po prawej – separatki oraz prysznic. Nigdzie nie było okien. Jakby całe światło kuli ziemskiej zgasło, a rzeczywistość przysłonił brudnoszary instagramowy filtr.

Ściany niepokojąco drżały od głuchego pomruku. Był czas posiłku. Dwie pielęgniarki roznosiły tace z gotowaną rybą, brukselką i twarożkiem.

– Według przepisów nie wolno przetrzymywać pacjentów dłużej niż czterdzieści osiem godzin – wyjaśniła

Catherine Aumonier. – Potem należy skierować ich do szpitala albo, jeśli jest podejrzenie, że popełnili przestępstwo, i trwa śledztwo, wracają do komisariatu.

Za ścianką z pleksiglasu bezzębny facet w niebieskiej piżamie ryczał: „Jest mi zimno! Jest mi gorąco! Jest mi zimno! Jest mi gorąco! Dajcie mi wina, chcę do kina!”.

– Po południu nie mieliśmy już wyjścia, trzeba było ją gdzieś przenieść. Wciąż kogoś dowozili, zebrało się dwadzieścia osób, a do dyspozycji jest tylko szesnaście łóżek i dziesięć pokoi.

– Znaleźliście dla niej miejsce?

– Oczywiście! Zrobiliśmy wszystko, co możliwe, i znaleźliśmy miejsce w klinice psychiatrycznej Jules-Cotard. To mały zakład niedaleko stąd, koło cmentarza Montparnasse. Ale podczas transportu coś się stało i zgubiliśmy ją.

– Zgubiliście ją? Uciekła?!

Słyszając wyrzut i oburzenie w głosie Roxane, Catherine Aumonier wpadła w złość.

– A co pani myśli? Normalnie zatrudniamy czterech strażników. Teraz jeden ma wolne ze względu na skrócony czas pracy, drugi jest chory, a trzeci nie przychodzi, od kiedy złożył podanie o przeniesienie. Według prawa przy przewożeniu chorego musi być dwóch funkcjonariuszy, ale dziś po południu mieliśmy tylko jednego.

Policyjny szpital psychiatryczny cierpiał na syndrom typowy dla Francji: kraj był obciążony nadmiernymi podatkami i nadmierną administracją, ale nic nie działało

jak należy. Bezzębny wciąż wrzeszczał: „Chcę wina do kina! Jedzcie dorsze, gówno gorsze!”.

– Jak to się dokładnie stało?

– Uciekła strażnikowi na dziedzińcu kliniki Jules-Cotard.

Gdy dochodziły do pokoju numer sześć, Catherine Aumonier wytarła nos rękawem.

– To tu – oznajmiła.

Nadszedł wielki jak szafa strażnik i otworzył im drzwi. Pomieszczenie było maleńkie, góra dziesięć metrów kwadratowych, bez prysznicza czy ścianki działowej. Stało tam tylko metalowe łóżko przytwierdzone do podłogi oraz toaleta chemiczna, taka, jakie spotyka się niekiedy na kempingach lub budowach. Stare graffiti na ścianach opowiadały dzieje poprzednich lokatorów.

– Jesteś dziurą w dupie, i tyle! – rzucił do kierowniczki pacjent na łóżku. Siedział po turecku i wypluwał z siebie przekleństwa. Zażenowana Roxane spoglądała na niego ukradkiem. Przypominał jej Popeye’a, marynarza z krzywą szczęką, jednym okiem i kotwicą wytatuowaną na przedramieniu. – Przyślij mi swoją matkę, żebym zrobił cię od nowa! – wrzasnął.

Catherine Aumonier nie zwracała na niego uwagi i uprzedzając pytanie Roxane, powiedziała:

– Pokój został zdezynfekowany, technicy kryminalni niczego tu nie znajdują.

Roxane zamyśliła się. Nie była pewna, czy sprawą zainteresuje się laboratorium kryminalistyczne. Policja

z czternastej dzielnicy przygotowuje ogłoszenie dotyczące zaginięcia kobiety, a komisariat z avenue du Maine wyśle po prostu samochód patrolowy w okolice kliniki Jules-Cotard, w nadziei że dziewczyna się tam pojawi. Catherine Aumonier, świadoma, że spieprzyła sprawę, dodała jeszcze na koniec:

– Farouk, jeden z naszych strażników, wykazał się refleksem i pozbierał te włosy, które dziewczyna sobie wyrwała.

Wyjęła z kieszeni fartucha zapieczętowaną plastikową torebkę z garstką blond loków. Roxane przyjrzała się jej sceptycznie. Lepsze to niż nic, choć nie była pewna, czy wystarczy cebulek na pobranie istotnego materiału genetycznego. Nie mówiąc o tym, że próbka mogła być zanieczyszczona... Znów omiotła wzrokiem pomieszczenie i zatrzymała spojrzenie na toalecie chemicznej.

– Toaleta też została wyczyszczona?

– Oczywiście, wymieniamy zbiornik za każdym razem, gdy przyjmujemy nowego pacjenta. To działa trochę jak żwirek dla kotów.

– Tak, wiem. Proszę spróbować to odnaleźć i pobrać próbki.

– Czego pani konkretnie szuka?

Roxane wzruszyła ramionami.

– Jej moczu, kału... wszystkiego, co znajdziecie.

Godzina dziewiętnasta. Roxane jechała skuterem Valentine Diakité. Mroźne powietrze paraliżowało jej twarz, przenikało ją na wskroś. Palce drętwiały jej z zimna. Miała na sobie bluzkę z długimi rękawami i skórzaną kurtkę, było to jednak za mało na lodowatą noc.

Na place Denfert-Rochereau skręciła w boulevard Raspail w kierunku swojego nowego biura. Była godzina szczytu, ludzie wracali po pracy do domów. Na ulicy utworzył się korek, częściowo z powodu niekończących się robót drogowych, które speściły stolicę. Roxane, która mieszkała w Paryżu od urodzenia, nigdy jeszcze nie widziała swojego miasta w takim stanie. Roboty trwały od miesięcy, każda ulica i każde skrzyżowanie były rozkopane. Najgorsze, że nigdzie nie widziało się pracujących robotników. Najwyraźniej po zrobieniu wykopów byli odsyłani w inne miejsce. Nikt w merostwie nie przejmował się stanem ulic, w których całymi tygodniami ziały ogromne dziury, ogrodzone ohydnyymi metalowymi barierkami w kolorze szarozielonym – tymi samymi, którymi w weekendy manifestanci rzucali w policjantów.

Roxane nie mogła oderwać myśli od sprawy „nieznajomej z Sekwany”, jak ją nazwała. Było w tym coś romantycznego. Przypomniła jej się tekst, który czytała przed egzaminami na uniwersytet, o młodej samobójczyni wyłowionej pod koniec XIX wieku pod jednym z mostów na Sekwanie. Zafascynowany urodą kobiety pracownik

kostnicy potajemnie zrobił odlew jej twarzy. Ta gipso-
wa maska pośmiertna, wielokrotnie później kopiowana,
stała się ikoną i ozdobą mieszkań ówczesnej paryskiej
cyganerii. Aragon wspomniał tę postać w *Aurelianie*, na-
zywając ją „Mona Lisą samobójców”. Supervielle napi-
sał krótki utwór na jej temat, a u Camusa stała na biur-
ku replika tej rzeźby. Smutek i powaga malujące się na
twarzy kobiety fascynowały wszystkich. Odnaczała się
niezwykłą urodą: wysokie i wydatne kości policzkowe,
gładka skóra, opuszczone powieki o delikatnych rzęsach
i ten tajemniczy półuśmiech zastygły w wyrazie szczę-
ścia, jakby pokonanie Styksu okazało się oczekiwanym
spełnieniem.

Rue de Sèvres. Elektryczna deskorolka jadąca pod
prąd wyrwała Roxane z literackich rozważań. W ostatniej
chwili policjantka wykonała gwałtowny manewr, unika-
jąc zderzenia, i wyjechała z korków, skręcając w rue du
Bac. Przemarznięta do kości, poprowadziła skuter przez
bramę i postawiła go na sąsiednim podwórku, pod nu-
merem 111 bis. Pchnęła masywne drzwi wieży z zegarem
i z ulgą i zadowoleniem wróciła do swojego nowego biu-
ra. Ciepło, uspokajające dźwięki fortepianu, dekoracje
święteczne – wszystko to przypominało jej dzieciństwo.
Poutine, kot syberyjski, podszedł do niej i zaczął się łąsić.

Nie ma jak w domu...

Na drugim piętrze siedziała za biurkiem Valentine Dia-
kité i Roxane zrozumiała, że trudno będzie się jej pozbyć.

– No i czego się pani dowiedziała? – spytała młoda kobieta z błyszczącymi oczami, szczerze zainteresowana.

Roxane wpadła na pewien pomysł. Postanowiła wykorzystać zapal doktorantki. Streściła przebieg wizyty w policyjnym szpitalu psychiatrycznym.

– Jeśli chcesz mi pomóc, to teraz! – zakończyła, wyjmując z wewnętrznej kieszeni kurtki plastikowe torebki, jedną z kosmykiem włosów, drugą z pojemnikiem z próbką moczu zaginionej. – Za pół godziny odjeżdża TGV do Lille, możesz tam być przed dziewiątą.

– W Lille?

– Tak, w Lille. Odwiedzisz Instytut Genetyki Sądowej, jedno z większych prywatnych laboratoriów w tej części Francji.

Valentine zaczęła notować w telefonie.

– Mój wydział zajmujący się poszukiwaniem zbiegów często z nimi współpracuje. Również dochodzeniówka regularnie korzysta z ich pomocy, bo wykonują analizy szybko, zwłaszcza gdy wyniki są potrzebne, zanim podejrzanego trzeba będzie wypuścić z aresztu – wyjaśniła Roxane.

– Ale nikt pani nie powierzył oficjalnie tej sprawy!

– Nikt się o tym nie dowie – odpowiedziała Roxane. – Przekaż te próbki Johanowi Moersowi.

– O dziewiątej wieczorem?

– Pora nie gra roli. To dziwak, spędza tam noce. Wyślę mu esemesa i uprzedzę o twojej wizycie.

Roxane miała nadzieję, że Valentine zrezygnuje przy pierwszej trudności, ale tak się nie stało.

– Dobra – rzuciła tylko dziewczyna, wkładając kask.

Wsadziła próbki do torebki Lady Dior i podała Roxane wizytówkę w kolorze kości słoniowej.

– Wyśle mi pani bilety i adres na maila?

– No pewnie. Będziesz z powrotem w Paryżu przed północą.

4

Roxane, zadowolona, że wreszcie jest sama, usadowiła się na klubowej kanapie, wysłała esemesa do Johana Moersa, kupiła i przesłała Valentine bilety na pociąg i zamyśliła się. Patrząc niewidzącym wzrokiem przed siebie, myślała o nagraniach z kamer monitoringu. Nieznajoma wyłowiona z Sekwany miała urodę niby banalną, ale fascynującą. Przypominała jej fikcyjne Sylvidry, piękne i niebezpieczne kobiety-rośliny utworzone z soków i włókna, które były śmiertelnymi wrogami kapitana Harlocka.

Wysłała kolejnego esemesa, tym razem do Catherine Aumonier, by przypomnieć lekarce, że czeka na obiecane nazwisko, adres i raport strażnika, który pozwolił uciec nieznajomej. Następnie zadzwoniła do szpitala Pompidou, żeby dowiedzieć się o stan Batailleya. Straciła

mnóstwo czasu i musiała rozmawiać z wieloma osobami, zanim wreszcie usłyszała w telefonie głos jakiegoś lekarza. Wieści nie były dobre: Batailley oprócz obrażeń ciała doznał także poważnego wstrząśnienia mózgu. Wprowadzono go w stan śpiączki farmakologicznej, żeby móc go operować i zmniejszyć krwiaki. Stan komisarza ustabilizował się, ale cały czas nie było wiadomo, czy pacjent przeżyje.

Na koniec wysłała esemesa do Louise Veyron, koordynatorki w Departamencie Porządku Publicznego i Ruchu Drogowego, któremu podlegało Wodne Pogotowie Ratunkowe. Znały się trochę. Postanowiły zorganizować następnego dnia prywatne spotkanie z nurkiem, który wyłowił nieznaną w nocy z soboty na niedzielę.

Pomyślała o swoim mieszkaniu – szarość, zimno, samotność, beton, nicość. Nie czuła się na siłach tam wrócić. Nie miała ze sobą żadnych rzeczy osobistych, ale postanowiła zostać w tym przytulnym miejscu, jakim okazała się wieża z zegarem.

W kuchni, na pierwszym piętrze, spostrzegła już wcześniej obok lodówki małą szafkę na wino. Szybko przejrzała jej zawartość i wybrała butelkę białego bordeaux Pessac-Léognan, Domaine de Chevalier 2011. Nalała sobie pierwszy kieliszek i wypila go jednym haustem, tylko po to, żeby poczuć alkohol. Przy drugim już się tak nie spieszyła – wino okazało się doskonałe, o smaku lekko owocowym i dębowym, z odrobiną aromatu białej

brzoskwini i orzecha laskowego. Batailley najwyraźniej był koneserem.

Wzięła butelkę i weszła na schody. Na górze pogmerała przy starym żeliwnym kaloryferze, żeby zrobiło się ciepłej. Nie była zmarzluchem, ale ostatnio jakoś wydelikatniała. Zdarzało się, że niespodziewanie przeszywała ją fala paralizującego zimna. Opatuliła się wielkim wełnianym pledem w szkocką kratę, który leżał złożony na kanapie, i przejrzała płyty Batailleya. Wybór płyt również jej odpowiadał. Najwyraźniej komisarz lubił muzykę klasyczną. Kompaktów było mnóstwo, niektóre jeszcze nierozpieczętowane. Zdecydowanie preferował Schuberta, Beethovena i Satiego, interpretowanych przez największe gwiazdy: Krystiana Zimermana, Daniela Barenboima, Marthę Argerich, Milenę Bergman, Aldo Ciccoliniego.

Silne podmuchy wiatru uderzały w szyby. Roxane czuła się w tej wieży jak w latarni morskiej. Noc była jasna. Z okien na najwyższym piętrze mogła podziwiać miasto z niezwyklej perspektywy. Dostrzegła stojącą w kącie kilkustopniową drewnianą drabinę. Wspięła się na nią, otworzyła znajdujące się wyżej rozsuwane drzwi i wyszła przez nie na maleńki tarasik tuż przy zbiorniku z wodą – takim, jakich mnóstwo w Nowym Jorku.

Silny wiatr ją orzeźwił. Polubiła tę wieżę. Szybko poczuła się tu jak w domu. Siedząc na blaszanym dachu jak żeglarz w bocianim gnieździe statku płynącego po fa-

lach paryskiej nocy, miała wrażenie, że czuwa nad całym miastem. Ruch miejski i światła były hipnotyzujące. Co chwila jakiś szczegół przyciągał jej uwagę. Owinęła się mocniej płedem i znów dała się ponieść wyobraźni: ujrzała siebie siedzącą na blankach obronnej twierdzy. Tak, czuła się bezpiecznie. Tu nikt po nią nie przyjdzie.

A jeśli tak by się stało, będzie miała czas przygotować się do obrony.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).